Grudzień 2022

MAMMUTHUS MONTANUS

ssp. harnasiensis

269

PODORGAN MAMUTÓW SKPG „HARNASIE"

BACOWANIE PRZEDŚWIĄTECZNE

17–18.12.2022 Przysłop Potócki

Tym razem bacowanie miało się odbyć nie gdzie indziej jak... na Cudzichowej, bo za bardzo nie było w czym wybierać. Gdy ustaliła się lista chętnych, a prognozy pogody wskazywały, że będzie bardzo śnieżnie i mroźnie, padła propozycja zgłoszona przez Asię Śliwę, by dla odmiany i ułatwienia zrobić imprezę, tak jak dwa lata temu, na Przysłopie Potóckim.

Propozycja została przyjęta większością głosów. Jedynie Żaby, planujące wycieczkę narciarską, były nieco zawiedzione zmianą.

Trochę zamieszania wprowadziła też Ola, która z powodu drobnej, ale bolesnej kontuzji planowała odpuścić nocleg na twardych deskach szałasu i ewakuować się nocą do Żywca, do Olka i aby nie wracać samotnie, namówiła na taki wariant Asię.

W sumie miało nas być 9 osób. Ja, Jola, Metzger i Nowy spotkaliśmy się u Nowszego, z którym mieliśmy jechać dalej. Ola miała jechać z Asią, a Żaby miały dojechać nieco później.

Tymczasem śnieg padał i padał. Zanosiło się na ostre torowanie, a może nawet odkopywanie szałasu. Prócz standardowego wyposażenia wrzuciliśmy więc do auta dwie lekkie łopaty.

Do Rycerek dojechaliśmy bez większych przygód po godz. 16. Tuż po nas dojechały Ola i Asia. Śnieg lekko prószył, ale tu, w górach, nie było go jakoś dramatycznie dużo. Szykując się do drogi, zauważyłem, że nie przerzuciłem do auta Nowszego aparatu fotograficznego. W niedzielę miała być lampa, a smartfonem nie lubię i nie umiem robić zdjęć. Nowy pocieszył mnie, że on ma aparat, więc będzie dokumentował wyjazd. Już wkrótce, podczas podejścia, okazało się, że Nowy aparat zabrał, ale bateria została w domu, w ładowarce. No cóż, chyba niewiele nam brakuje, by planując kolejne bacowanie, stwierdzić, że: „Może na Cudzichową, bo tam jeszcze nie byliśmy".

Już na początku popełniliśmy też błąd orientacyjny. Idąc wydeptanym do pewnego momentu śladem, zgubiliśmy szlak bazowy. Najefektywniej było zawrócić i pójść szlakiem. W ten sposób straciliśmy ok. 15 minut, ale dalsza droga przebiegała już bez przygód, a szałasy nie wymagały odśnieżania. Tym razem wybraliśmy na imprezę nowszą z dwu stojących na hali bacówek. Po pozyskaniu drewna i rozpaleniu ognia zaczęliśmy grzać bigos. Początkowo dym dawał się dość mocno we znaki, ale sytuacja polepszyła się, gdy Waldek z Metzgerem przynieśli suchszego drewna. Pewną nowością był wykonany przez Asię, która mięso jada, ale nie lubi go przyrządać, bigos wegetariański. Komisyjnie dopuszczony też został do spożycia kupny bigos Nowego z „Ziarenka". Była też jeżynowa nalewka Asi i tradycyjny grzaniec galicyjski.

Użyliśmy też gitary, i to więcej niż 8 razy (rok temu ponoć zaśpiewaliśmy tylko 8 piosenek).

Gdy Ola z Asią wyruszyły na dół, zauważyliśmy jakieś światło przy wiatach bazowych. Podeszliśmy tam z Nowym i spotkaliśmy turystę, który zeznał, że jest z Milówki i zrobił sobie nocną pętelkę z Rycerki Kolonii i właśnie zszedł z Bendoszki.

Noc była dość mroźna – było chyba minus kilkanaście stopni. Za to rano powitała nas słoneczna pogoda. Po śniadaniu w postaci pieczonych kiełbasek wyruszyliśmy na Bendoszkę. Widoki ze szczytu były piękne i dalekie. Prócz Małej Fatry można było podziwiać Niżne Tatry, Tatry, Góry Choczańskie, a na zachodzie Kisuce i Beskid Śląsko-Morawski. Potem wstąpiliśmy na kawę i sernik na Przegibek, a potem zeszliśmy do Rycerek. O wyniku finałowego meczu Mundialu dowiedzieliśmy się w drodze powrotnej z internetu.

Redakcja

NASZ PIERWSZY ALPENCROSS

Marta Kubiczek

Alpencross – czyli przejazd rowerem przez Alpy. Najczęściej wybieranym punktem startowym jest jedna z niemieckich alpejskich miejscowości: Oberstdorf, Garmischpartenkirchen (GaPa) albo okolice jeziora Bodeńskiego, natomiast miejscem docelowym jest jezioro Garda, jezioro Como lub wybrzeże morza Śródziemnego. W ostatnich latach alpencross stał się bardzo popularną formą „wycieczkowania" po Alpach na rowerach górskich. Myślę, że wynika to przede wszystkim z faktu, że taki przejazd umożliwia zapoznanie się z bardzo zróżnicowanym krajobrazem alpejskim w trakcie jednego wyjazdu bez konieczności nieustannego przemieszczania się samochodem z doliny do doliny. Z pewnością jest to także wyzwanie dla rowerzysty górskiego, gdyż prawie każdy alpencross wymaga dobrej kondycji, planowania, a także odrobiny szczęścia do pogody. Z uwagi na duże przewyższenia dzienne, długie fragmenty trialowe oraz odcinki, na których pchanie roweru jest nieuniknione, przejazd odbywa się prawie „na lekko". Praktycznie wszyscy alpencrossowcy jadą jedynie z niewielkimi plecaczkami, sakwy i/lub torby na kierownice zdarzają sie tylko tym, którzy wybierają wariant asfaltowy lub wyłącznie szutrowo-asfaltowy. Biwakowanie w górach na większości tras alpencrossu jest problematyczne i wiąże się z trudnościami logistycznymi, „wagowo" jest to bardzo obciążające.

Już w 2019 chcieliśmy zmierzyć się z wyzwaniem pt. alpencross. Niestety, wtedy nie było pogody w czasie naszego urlopu, w 2020 – pandemia, a w 2021 znowu były deszcze w prognozie. I wreszcie w tym roku wszystko się poukładało, tak więc w czwartek (na trzy dni przed startem) zapadła ostateczna decyzja o wyjeździe, tzn. zrobiliśmy rezerwację na dwa pierwsze noclegi. Wybór padł na drogę Albrechta: z GaPa nad Gardę, która jest dobrze opisana, nie ma na niej bardzo długich odcinków pchania, a trudniejsze (dla mnie) zjazdy są tylko dwa. No i nie bez znaczenia był także fakt, że powrót z Rivy na miejsce startu jest stosunkowo prosty, bo na tej trasie regularnie jeżdżą przewozy dla alpencrossowców.

Jeżeli chodzi o ilość bagażu, to zdecydowaliśmy się zabrać jeszcze mniej rzeczy niż zazwyczaj pakujemy na wyjazd „tobołkarski". Tym razem odpadł sprzęt biwakowy, pozostało jedynie zabrać niewielką ilość nieco cieplejszych ubrań, przybory toaletowe, apteczkę, sandały, no i malutką narzędziówkę rowerową. Wyszło dla mnie 5 kg, dla Waldka 7 kg, czyli „prawie" na lekko. Tak przygotowani, w niedzielę wieczorem przyjechaliśmy do GaPa, a w poniedziałek rankiem zostawiliśmy auto na parkingu pod Eisstadionem (darmowy) i rozpoczęła sie nasza Przygoda.

Dzień 1: GaPa – Fernpass – Imst – Strengen

Pogoda piękna, systemem eleganckich ścieżek rowerowych przejeżdżamy przez granicę z Austrią i za miejscowością Ehrwald rozpoczyna się pierwszy podjazd – na przełęcz Fernpass. Stara droga, przyjemny szuter o nachyleniu nieprzekraczającym 12 % , poprowadzona jest historyczną trasą Via Claudia Augusta, wytyczoną jeszcze przez Rzymian. Na tym odcinku ruch rowerowy jest bardzo duży, przeważają oczywiście „elektryki", większość wygląda także na jadących trasę wielodniową. Po drugiej stronie przełęczy przemykamy przez ruiny zamku Fernstein i dalej już ścieżkami rowerowymi przez Nassereith docieramy do doliny Innu w Imst, a potem do Landecka, gdzie robimy przerwę na pizzę z kebabem w tureckiej knajpce. Zestawienie niekonwencjonalne, ale udane.

cd. str. 2

Na koniec dnia czeka nas jeszcze podjazd szosą do Strengen. W tej małej miejscowości śpimy w Posthotelu; rzeczywiście jest to budynek dawnej poczty o bogatej i długiej historii, jak dowiadujemy się z umieszczonych na ścianach zdjęć.

Dzien 2: Strengen St. Anton – Heilbronnerhutte – Zeinisjoch – Galtur – Ischgl

O 8:20 wyruszamy, najpierw szosą i ścieżkami rowerowymi do Sankt Anton, które o tej porze roku jest małą, cichutką miejscowością. Potem nasz szlak wiedzie w głąb doliny Verwalltal. Szybko opuszczamy strefę lasu i mijając Konstanzerhutte, wkraczamy na alpejskie łąki. Od tego miejsca jest już znacznie mniej e-bików, spokojnie podjeżdżamy w górę doliny. Droga zamienia się w singiel, niezbyt stromy, ale miejscami kamienisty, a miejscami podmokły. Po chwili zamienia się on w wymagającą pchania ścieżkę. Ostatni odcinek podjazdu to łatwy trail wzdłuż jeziora Scheidsee i tylko końcowy szuter z przełęczy do schroniska Heilbronnerhutte (2300) jest bardzo stromy i wysysający resztki sił. Wieje i jest raczej zimno, chociaż pogoda dalej piękna. Uzupełniwszy płyny, rozpoczynamy zjazd na drugą stronę. Pojawiają się pierwsze widoki na Silvrettę. Wypatrujemy znajomych panoramek na rejony, które odwiedziliśmy w 1989 r. Zjazd jest łatwy i szybki, chociaż droga, zwłaszcza na początku, jest dosyć stroma. Tak docieramy nad zbiornik Kops, skąd czeka nas jeszcze mały podjazd na Zeinisjoch. Jest wczesne popołudnie, a nam pozostał już tylko zjazd przez Galtur do Ischl. Bardzo ciekawy okazuje się ostatni fragment, wiodący starą drogą przez przełom rzeki Vermunt.

W Ischgl mamy nocleg w pustym i zadziwiająco tanim hotelu. Jest czysto i porządnie, ale gości nie ma chyba prawie wcale. Niewątpliwie koniec lata to nie jest okres największego „prosperity" w tym narciarskim ośrodku. Widać to zresztą także na ulicach i w niewielu otwartych knajpach. Mimo to zjadamy obiadokolację w sympatycznym lokalu, obsługiwani chyba przez studentkę dorabiającą w czasie wakacji. W każdym razie nie sprawiała wrażenia etatowej kelnerki.

Dzień 3: Ischgl – Bodenalpe – Fimberpass – Sent – Scuol

Godzina naszego startu ograniczona jest przez godzinę otwarcia jedynego czynnego sklepu spożywczego, tak więc wyruszamy na kolejny etap dopiero po 9:00. Na początek naprawdę stromy asfalt do doliny Fimbatal. Gościu na recepcji próbował nas namówić na bilet na kolejkę pozwalającą „przeskoczyć" ten próg doliny. Może niesłusznie zrezygnowaliśmy? W każdym razie po pierwszych 400 m podjazdu dolina kładzie się i następne metry zdobywamy już raczej spokojnie gładkim szutrem. Pogoda dalej wymarzona. Niepostrzeżenie przekraczamy granicę ze Szwajcarią (miejsce niczym specjalnym się nie wyróżnia oprócz starej, skromnej tabliczki) i dojeżdżamy do Heidelbergerhutte (2250), gdzie droga się kończy. Tutaj przerwa na picie i małe odsapnięcie przed czekającym nas ponad 300-metrowym podpychem. Faktycznie, zaraz za schroniskiem ścieżka staje dęba. Potem jest już trochę lepiej i chwilami można jechać, ale zasadniczo na przełęcz idziemy z buta. Fimberpass (2608) nie jest niestety bardzo widokowa, tylko Fluchthorn, na który swego czasu podjęliśmy niezbyt zaawansowaną próbę wejścia, cały czas prezentuje się okazale. Po drugiej stronie czeka nas trail. Dla mnie w większości okazuje się za trudny, a może sporo w tym obawy, że nawet najmniejsza wywrotka mogłaby zatrzymać nasz przejazd alpencrossem? Na górze trail jest stromą ścieżką wśród osypujących się kamieni, niżej gładki, ale eksponowany i wąski przejazd nad zwężeniem doliny. Krajobraz dosyć księżycowy, gdyż okoliczne szczyty zbudowane są z bardzo nieodpornej skały i przypominają raczej monstrualne hałdy. Waldek większość zjeżdża, ja dopiero dolną część, a potem trail zamienia się już w drogę pośród modrzewiowych zagajników i łąk przetykanych wapiennymi skałkami. Szybko mkniemy do Vna, gdzie skręcamy w pełen korzeni, leśny trail do Val Sinestra. Spory odcinek z buta, ale docieramy do drogi, którą już bez przeszkód spuszczamy się do Scuol. Po przejechaniu całego miasteczka stajemy przed malutkim hotelem Garni Panorama. Samoobsługa, na recepcji pusto, lokujemy się w pokoju (nic szczególnego, ale jest czajnik elektryczny – to wyjątek na całej trasie) i idziemy na poszukiwanie otwartej (i niezbyt drogiej) knajpy. Trafiamy na pizzerię, która jest okupowana głównie przez lokalsów. Bolognese jest całkiem, całkiem. Po sprawdzeniu godzin otwarcia Coopa wracamy do pokoju i odpoczywamy.

Dzień 4: Scuol – S-charl – Pass da Costainas – Tschierv – Doss Radond – Val Mora – Lago di Cancano

Kolejny ranek wstaje pogodny, ale chłodny. Po śniadaniu i małych zakupach znowu startujemy dopiero około 9:00, a tu daleka droga przed nami, gdyż nocleg mamy zarezerwowany dopiero po stronie włoskiej. Czyli dzisiaj czeka nas przejazd przez tzw. główne przejście alpejskie. Zaraz po przekroczeniu Innu zaczynają się agrafki, a potem już długa asfaltowa prostka, którą wjeżdżamy do zupełnie niedostępnej niżej doliny Val S-charl. Jest to wąska dolina, bardzo narażona na obsuwy kamieni i ziemi w trakcie opadów deszczu. Na całej jej długości oznakowane są miejsca zbiórek oraz tablice informacyjne z instrukcjami, co należy zrobić, gdy sytuacja stanie się niebezpieczna. Tuż przed samą osadą S-charl znajduje się (chwilowo zamknięte) muzeum miejscowego górnictwa i hutnictwa srebra oraz ołowiu. Obok drewniany pomnik „ponownego pojawienia się niedźwiedzia w masywie Sesvenna". Sama osada S-charl jest malutka, ale pełna zabytkowych kamienno-drewnianych, ślicznych domków. Po krótkiej przerwie jedziemy dalej przez lasy limbowo-modrzewiowe; wszak zaraz obok zaczyna się park narodowy. Na drodze do Alp Astras – ostatniego szałasu przed przełęczą – mijamy malownicze torfowiska z potokiem wijącym się przez ich środek. Dolina, już zupełnie bezleśna, łagodnie pnie się do góry. Od szałasu łatwym trailem biegnącym wśród kosodrzewiny docieramy na Pass da Costainas (2251), będącą głównym przejściem alpejskim. Po drugiej stronie przełęczy dolina jest bardziej zalesiona i skalista; sprowadzająca w nią droga jest najpierw przyjemna, potem stroma, kamienista i kręta. Ale dosyć szybko zamienia się w porządny szuter i nim zjeżdżamy w pobliże wsi Tschierv w Val Mustair. Jedziemy doliną do Fuldery z nadzieją na sklep, ale niestety południowa przerwa jest tutaj bardzo długa, a my mamy jeszcze dużo trasy przed sobą. Tak więc pozostaje nam popas na ławeczce i dojedzenie resztek naszych skromnych zapasów. Zaraz potem, po krótkim trawersie przez las, czeka nas kolejny tego dnia podjazd na przełęcz Doss Radond (2235). Podjazd jest stromy, nie ma tym razem wypłaszczeń, ale za to widoki na górne piętro doliny, zwieńczone efektownym wodospadem, są rewelacyjne. Za przełęczą łagodnie spuszczamy się do Val Mora. Jest to szeroka dolina, bardzo zniszczona przez wodę. Najpierw jedziemy wygodną drogą, która niżej zamienia się w trail poprowadzony blisko krawędzi wyerodowanego uskoku. Niby jest łatwo, ale miejscami powietrznie. W ten sposób dojeżdżamy do granicy z Włochami na mało wybitnej przełęczy Passo di Val Mora. Można powiedzieć, że jest to raczej wypłaszczenie na grzbiecie u zbiegu dolin. Dalej już bez problemów dojeżdżamy nad zbiorniki zaporowe: Lago di San Giacomo i Lago di Cancano. W obydwu resztki wody – taka susza w tym roku. Widok nie jest zbyt zachęcający, ale mamy już blisko do naszego noclegu w Villi Valania. Jest po 19:00, 68 km/1940 m za nami, a tu niespodzianka: chiuso (zamknięte) – głosi wywieszona kartka. Siadam na murku, a Waldek dobija się i pokazuje obsłudze na

cd. str. 3

telefonie rezerwację na bookingu. Robi się prawdziwa włoska awantura, ale ostatecznie dostajemy pokój, gospodarze okazują się mili i rewelacyjnie nas dokarmiają. Na szczęście, bo do najbliższej cywilizacji jest 400 m zjazdu, który trzeba by jutro dodatkowo podjechać.

Dzień 5: L. di Cancano – Arnoga – Passo di Verva – Grosio – Sondalo

Według prognoz jest to ostatni dzień pogody; potem ma być jeden dzień deszczu i zamierzamy go przeczekać. Ponieważ kolejny etap przez Passo Gavia ma być bardzo długi (a raczej wysoki: ponad 2000 podjazdu) rezerwujemy od razu dwa noclegi w Sondalo, 200 m wyżej niż Grosio, w którym być może byłoby nam wygodniej z wyborem spania. Z Villa Valania stratujemy o 9:00. Po kilkuset metrach dojeżdżamy na próg doliny i mamy okazję do krótkiego spaceru po ruinach Torri di Fraele – XIV-wiecznych fortyfikacjach, broniących wstępu do doliny, z której właśnie przyjechaliśmy. Z progu zjeżdżamy niewiele, aby po krótkiej chwili uderzyć w długi, bardzo widokowy trawers wiodący wzdłuż granicy parku narodowego Stelvio. Trawers kończy się w Arnodze, gdzie przekraczamy ruchliwą szosę i po dojechaniu do doliny rozpoczyna się podjazd na przełęcz Passo di Verva (2300).

Początek to srogi beton o nachyleniu 20%, a potem już nieco łagodniejszy szuter wiodący aż na przełęcz w prawdziwie wysokogórskiej, granitowej scenerii. Następnie czeka nas 1600 metrów zjazdu do Grosio. Początek szutrowy, bez szczególnej walki aż nad staw Lago Acque Sparse. Cudna, błękitna woda, dookoła trochę kosówki i skaliste otoczenie skłaniają nas do chwili przerwy na podziwianie widoków, do jedzenia mamy niestety tylko batoniki… Dalszy zjazd jest bardzo stromy, aż do przysiółka Eita, a potem to już niekończącym się asfaltem zjeżdżamy do „pieca", czyli do Grosio. Temperatura 33 stopnie nieco nas zaskakuje. Duchota, czujemy, że pogoda się psuje. Ścieżką rowerową w dolinie podjeżdżamy do malutkiej mieściny Sondalo, gdzie mamy spanie. Już na wjeździe do miejscowości naszą uwagę zwraca osiedle czerwonych i żółtych kilkupiętrowych bloków stojących na stromym stoku, wysoko nad dnem doliny. Pobieżnie sprawdzony internet mówi, że jest to szpital; ale wieczorem większość budynków jest ciemna. Zaciekawiło nas to bardzo. Ale tymczasem jemy doskonałą pizzę i odpoczywamy, gdyż za nami niezbyt długi, ale intensywny dzień.

Dzień 6: Sondalo

Rano budzi nas deszcz za oknem. Co za ulga; nie trzeba zrywać się z łóżka; schodzimy na śniadanie trochę później, razem z drużyną pikarską, która nocuje w tym samym obiekcie. Po powrocie do pokoju ciąg dalszy relaksu w oczekiwaniu na przerwę w opadzie, w trakcie której planujemy obejrzeć tajemnicze „bloki". Wreszcie wczesnym popołudniem, zaopatrzeni w kurtki, wyruszamy. Po krótkiej wizycie w mejscowym, bardzo starym i bardzo zaniedbanym kościele, robimy 200-metrowe podejście i po wybrukowanej porfirową kostką ulicy przekraczamy bramę wiodącą do, jak się okazało, dawnego sanatorium przeciwgruźliczego. Zostało ono zbudowane w latach 1932–40. Dziesięć siedmio piętrowych pawilonów, pod nimi stromy stok w całości umocniony kamiennymi murami. między nimi płaskie tarasy, na których rosną, obecnie już 80-letnie, potężne drzewa. W dawnej portierni zwiedzamy lokalne muzeum; pani po włosku próbuje jak najwięcej nam opowiedzieć, a my staramy się jak najwięcej zrozumieć. Po powrocie do hotelu, w oczekiwaniu na otwarcie knajpy, idziemy do pobliskiego marketu, kupić coś na jutrzejszy dzień.

Dzień 7: Sondalo – La Prese – Frontale – La Baita – Passo Dell'Alpe (2450) – Passo Gavia (2650) – Pezzo

Zgodnie z tymi lepszymi prognozami, rankiem wita nas lampa. Udaje się wyruszyć o 8:30. Na początek ścieżka rowerowa prowadzi nas do La Prese, gdzie zaczyna się asfaltowy podjazd do przysiółka Fumero (1450). Śliwa na tym odcinku naliczył podobno 20 agrafek, ale nie wiem, czy tak jest rzeczywiście, w każdym razie jest co cisnąć, chociaż nie jest bardzo stromo. Asfalt ostatecznie kończy się w przysiółku Fontanaccia i zaraz potem droga robi się kamienna i staje dęba. Po osiągnięciu wypłaszczenia pojawia się szuter. Okolica piękna, las modrzewiowy, na hali stare kamienne domy (z ogniwami słonecznymi). Widać, że w dolinie Rezzallo gospodarowano juz przed wiekami. Po jakimś czasie dojeżdżamy do przysiółka, który funkcjonuje pod nazwą La Baita – od nazwy kultowego podobno obiektu noclegowego, który jest właśnie tutaj na 1850 m (nam oczywiście nie udało się załatwić tutaj spania – weekend). Oprócz pięknego przysiółka stoi tu także malutki kościółek z 1670 r. – żeby ludzie w lecie mieli bliżej. Niedługo za kościółkiem droga, już raczej nie szuter, zaczyna mozolnymi zakrętami robić ostatnie 600 m podjazdu na Passo dell'Alpe. Częściowo jadę, częściowo prowadzę, a drogę umila mi towarzystwo młodego Włocha, który wyprzedził nieco swoją ekipę i prowadzimy miłą pogawędkę o dawnych i nowych czasach w górach. Gdy wreszcie się trochę wypłaszcza, porzucam mojego towarzysza i wkrótce dołączam do Waldka, a niedługo potem dojeżdżamy na przełęcz. Z niej do szosy na Passo Gavia wiedzie wyjątkowo miły trail, który udaje mi się zjechać w całości. Po dotarciu do asfaltu Waldemar pomyka do góry, a ja już z pewnym wysiłkiem robię te ostatnie 300 m podjazdu. Nie jest stromo, nie ma wielu samochodów, raczej motocykle i bardzo dużo szybkich „szos". Jakoś w końcu dowlekam się na górę. Na przełęczy śliczne Lago Bianco. Zimny powiew (w końcu to 2650), wkładamy kurtki i robimy chwilę przerwy, nie decydując się jednak na wizytę w knajpie.

Rozpoczynamy 1100-metrowy zjazd do Pezzo. Jest sucho, asfalt dobry, ale bardzo wąski. Nieoświetlony tunel omijamy starą, bardzo zniszczoną drogą i mkniemy dalej. Po drodze cudne widoki na Adamello, Brenty niestety nie widać. W dolinie niechcący omijamy skrót do Pezzo i na koniec trzeba trochę podjechać. Ciężko. Ale do pensjonatu „Da Guisy" już blisko. Gospodyni Virginia wita nas pysznym arbuzem. Obok siedzi już czwórka niemieckiej młodzieży, którą spotkaliśmy na Gavii. Też jadą alpencross i też będą nocować w tym samym obiekcie. A nie ma ich (obiektów) w Pezzo zbyt wiele. Pokój okazuje się przestronny, z widokiem na góry, jest nawet pralka. Przed zejściem na kolację dokonujemy ekwilibrystycznej sztuki zaklepania sobie powrotu z Torbole do GaPa w niemieckiej firmie przewozowej. Formularz rejestracyjny to istna droga przez mękę, ale się udaje: 1 września o 8:30. Czyli mamy jeszcze spokojne 3 dni na dojazd nad Gardę.

Dzien 8: Pezzo – Forcella di Montozzo (2600) – Lago di Pian Palu – Ossana – Dimaro

Rankiem, po super śniadaniu i pamiątkowym zdjęciu z Virginią, wyruszamy w stronę kolejnej przełęczy 2600 – Forcella di Montozzo. Jedziemy spokojnym asfaltem w głąb doliny. Dookoła same wysokie granie. Wypatrujemy, gdzie to Montozzo? W miłym, porannym słońcu droga doprowadza nas do przysiółka Case di Viso (1800). Znowu można poczuć się jak w skansenie, tylko te samochody terenowe i ogniwa na każdym dachu… Zaczynają się zakosy – cięgiem aż na 2450, gdzie stoi schronisko Bozzi. Większość jest do podjechania, ale trafiają się odcinki 15–16%, no i jest dużo luźnego szutru. Niestety od schroniska jest już wypych, ale na Forcellę na szczęście nie jest już bardzo daleko. Na siodle zasłużony odpoczynek. Widoki stąd piękne na granity w Adamello, ale Brenty znowu nie widać. Zaczynamy zjazd. Cała górna część doliny schodzącej do Lago di Pian Palu jest super gładkim trialem. Jednak od progu Val Montozzo jest już gorzej, robi się kamienisto i stromo; Waldemar walczy, ja już nie. Widokowe zakosy w stromym stoku sprowadzają nas na niecałe 2000 do wąskiego mostu, który trzeba przejść z rowerem w pionie. Wydaje się, że dalej będzie już spokojnie, ale ścieżka trawersująca zbocze doliny jest wąska i nie chce się skończyć. Cały czas widok na Lago di Pian Palu i dolne partie masywu Ortlera. Kiedy wreszcie dojeżdżamy do zbiornika, okazuje się, że główna droga jest zamknięta i trzeba próg objechać innym, pełnym spacerowiczów wariantem. No ale to już koniec trudności na ten dzień, po chwili mkniemy asfaltami przez Val Del Monte aż do Ossany, gdzie dochodzi szosa z Passo Tonale. Po drodze krótka przerwa w mało przyjemnym barze (nie lubią tu rowerów!), jednak konieczna ze względu na brak picia. Ścieżką rowerową dojeżdżamy do Dimaro. Po zakwaterowaniu w naszym obiekcie idziemy najpierw na zakupy, a potem na poszukiwanie knajpy, co okazuje się problemem, bo tutaj jest raczej „poza sezonem". Ostatecznie musimy wrócić do restauracji przy głównej szosie w stronę Tonale, ale za to jedzenie jest tutaj bardzo dobre, obsługa miła, no i nie jest bardzo drogo. A potem lekko marznąc, już po zmroku wracamy do hotelu.

Dzień 9: Dimaro – Madonna di Campiglio – Passo Bregn de l'Ors – Ponte Arche – Passo Balino – Riva del Garda – Torbole

Prognozy pogody na kolejne dni były coraz gorsze i z tego względu zapadła decyzja, aby w ciągu jednego dnia przejechać z Dimaro nad Gardę.

Jeszcze jest słonecznie, chociaż widać chmury gromadzące się nad górami. Nasza trasa wiedzie najpierw do Madonny di Campiglio, ale nie szosą przez Folgaridę, tylko starą, szutrową drogą przez dolinę Val Meledrio. Najpierw są to strome zakosy w lesie, na których mijają nas szybcy zawodnicy, którzy za parę dni będą w Val di Sole startować w zawodach; spali chyba tam gdzie my, bo widzieliśmy w garażu TE ROWERY… Potem robi się raczej płasko i wąską ścieżką, a potem eleganckim, drewnianym mo-

cd. str. 4

stem przejeżdżamy nad wodospadami del Pistoni; niestety wody jest mało i efekt żaden. Wreszcie osiągamy polany przy Malga Mondifra, skąd już krótki zjazd przez przełęcz Carlo Magno do Madonny. Jest ciepło i słonecznie, chwila przerwy na ławeczce w centrum kurortu, turystów sporo, ale atmosfera jest raczej leniwa.

Dalej nasza trasa wiedzie do doliny Vallesinella. Krótki trail ma nas sprowadzić do wodospadów, ale trzeba by do nich jednak trochę podejść, więc odpuszczamy. Zmęczenie czy pośpiech, a może jedno i drugie? Chwilę potem rozpoczyna się drugi podjazd tego dnia: dolina Valagola aż do stawu Val Agola. Podjazd jest łatwiejszy od poprzedniego. Docieramy nad staw i bardzo tu ładnie, ale na górach już siedzą chmury, pogoda psuje się. Tymczasem czeka nas odcinek „z buta" na Paso Bregn de l'Ors. Gdy tam doczłapujemy, zamiast spodziewanej przecudnej panoramy na Brentę, Adamello i Presanellę, widzimy tylko mgłę. Na osłodę mamy fajny, ale krótki singiel na Pass del Gotro (1858), no a potem już droga, którą zjeżdżamy doliną Val d'Algone aż do szosy, która prowadzi nas do Stenico. Przed samą miejscowością oglądamy efektowny wodospad Rio Bianco. Jemy coś, tankujemy wodę i szybko zjeżdżamy do Ponte Arche skąd, już tylko szosą, czeka nas ostatni podjazd na naszym alpencrossie – Passo Ballino. Ciągnie się już ten odcinek w nieskończoność, nie jest stromo, ale wkracza chyba znużenie tym bardzo długim dniem. Za przełęczą wreszcie już tylko w dół. Przez znajome nam tereny: Tenno, Varone, jedziemy drogą S421 prościutko do Rivy. Koło 19:00 stajemy nad Gardą! Alpencross zakończony. Parę fotek i jedziemy jeszcze tych parę kilometrów do Torbole, gdzie mamy ostatnie dwa noclegi w Villi Clara. Miły obiekt, super dla rowerzystów, garaż, dostępny warsztat, a pizzeria 20 m obok. Po zameldowaniu się zaraz tam idziemy, a potem z ulgą zalegamy w naszym pokoju. Jutro według prognoz ma spaść 20 mm deszczu… Nic z tych rzeczy.

Dzień 10: Torbole – Lago di Ledro –Torbole

Budzimy się, a tu słońce. Zarzekałam się co prawda, że przeleżę cały dzień w pokoju, ale Waldemar mówi, że może jednak trzeba by „przywitać się z figą" (co oznacza wycieczkę nad Ledro). No chyba tak, szkoda pięknego dnia. Koło 11:00 (!!!) wyruszamy. Na Ponale – kultowej drodze nad Gardą – oczywiście już tłumy, ale wyżej jest lepiej. O dziwo, sprawnie łoję znajome 20% betony, potem przerwa pod drzewem figowym (figi już dojrzałe i dostępne :-). Nad Lago di Ledro – idylla. Zamawiamy wielkie lody i myślimy, czy nie można by jeszcze gdzieś pojechać… ale w drodze na dół okazuje się, że świeżości jednak już nie ma i wracamy na „biwak". Ku naszej uciesze chmurzy się i jednak zaczyna lać. Na szczęście do knajpy mamy blisko.

Dzień 11 i ostatni – powrót do GaPa i do Gliwic

Nocleg mieliśmy tak wybrany, żeby w dniu odjazdu mieć blisko na parking, z którego odjeżdża bus. Dzięki temu rano możemy, prowadząc rowery, zameldować się na zbiórce o 8:30. W busie sami Niemcy i my. Rowery do przyczepy, my na fotele i jedziemy, bez przeszkód docierając do GaPa już o 13:30. Pakujemy się i jedziemy do domu. Była to dobra decyzja, bo godzina trochę nietypowa i udaje się uniknąć korków pod Rosenheim i Salzburgiem. Koło północy szczęśliwie meldujemy się w Gliwicach.

W sumie trasa naszego całego alpencrossu wyniosła 480 km i 12000 m podjazdów. Średnio (nie licząc przerwy w Sondalo) wyszło 60 km i 1500 m podjazdów dziennie. W dniach 22–30.08.2022 przejechaliśmy przez osiem przełęczy o wysokości powyżej 2200 m, w tym trzy przełęcze powyżej 2600 m. Trasa okazała się znacznie ciekawsza, niż przypuszczaliśmy, ale zdecydowanie wymagająca fizycznie i psychicznie. Na szczęście pogoda była niemal idealna, a logistycznie też wszystko zagrało. Może jeszcze kiedyś wybierzemy się na jakiś inny alpencross?

Marta Kubiczek

BLACHOWANI listopad 2022 cz. 2

Martyna Pietraszek, blacha 425

Od 8:00 do 16:00 projektant technologii wielkoprzemysłowych ku chwale polskiej energetyki. Po godzinach zaś zapalona dziewiarka i fanka piosenki autorskiej, z poświęceniem pielęgnująca Szorstką Przyjaźń Międzykołową, prowadząca tym samym działalność wywiadowczą „co też tam w innych kołach słychać...":). Myśl o przewodnictwie urodziła się w mojej głowie dawno, dojrzewała dobrą dekadę, aż w końcu zdecydowałam się przestąpić próg sali wykładowej spotkania inauguracyjnego kursu. Wtedy to okazało się, że kurs przewodnicki to prawdziwa „droga w jedną stronę". Otworzyła ona przede mną zupełnie nowy karpacki horyzont, o którym wcześniej mogłam tylko nieśmiało marzyć, a który szczęśliwie stał się nieodłączną częścią mojej codzienności.

Krzysztof Kulik, blacha 426

W dzień elektryk, w nocy zaś turysta. Co weekend biorę jednorożca Dziunię na plecy i ruszam w góry. Niegdyś celem weekendowych podróży były zakamarki podwórek rodzinnego miasta – Dąbrowy, później opuszczone miejsca zwane „urbexami", w chwili obecnej górskie szlaki, a za rok, dwa – któż to wie. Gdy dawna ekipa kompanów podróży znalazła stałe zatrudnienie i dziewczyny, a noclegi w namiocie przestały wystarczać i wyprowadzka z akademika zbliżała się nieuchronnie dużymi krokami, postanowiłem poszukać nowej grupki pasjonatów tanich i ciekawych podróży, którzy jednocześnie lubią też wiedzieć, dokąd jadą i co mijają po drodze. Z racji studiowania w Gliwicach wybór „Harnasi" był dość prosty i, jak się z czasem okazało – trafny.

TO BYŁO

✔ 2–4.12 Rajd Mikołajkowy z metą w Chatce AKT na Pietraszonce zgromadził 32 rajdowiczów na dwóch trasach. Zakończenie rajdu przygotowane zostało przez Sekcję Turystyki Górskiej „Trampki" AZS Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

✔ 17–18.12 Bacowanie Przedświąteczne na Przysłopie Potóckim. Było 9 osób.

✔ 20.12 Wigilia Kołowa w Mrowisku odbyła się w dość kameralnym gronie kilkunastu osób.

TO BĘDZIE

❋ 29.12 godz. 18:00 Śpiewanki u Paskudy.

❋ 25–26.02.2023 Blachowanie kursu 2021/23 odbędzie się w schronisku na Szyndzielni. Zapisy na forum kołowym.